

Kapsułki Pamięci

Krzysztof Lubczyński



Jak „zagrałem Hitlera”

Pewnego dnia, a była to jesień 2013 roku, pojechałem do ruin tzw. Reduty Banku Polskiego przy Bielańskiej w Warszawie na plan spektaklu Teatru Telewizji „Skutki uboczne” Petra Zelenki. Przeprowadziłem kilka wywiadów z kilkorgiem aktorów, występujących w przedstawieniu (m.in. Adam Ferency). Czekałem właśnie na schodach frontowych na rozmowę z reżyserem Leszkiem Dawidem, gdy podbiegł do mnie młody człowiek, jego asystent, który zapytał mnie bez ogródki: „Chcesz zagrać Hitlera?”. W okamgnieniu pomyślałem, że rysuje się dla mnie szansa kariery artystycznej, a „zagraniem” „Hitlera”, postaci bądź co bądź historycznej, to prawdziwa gratka. Okazało się, że zabrakło jednego ze statystów zaplanowanych do nagrania sceny. Odbyło się to tak nagle i w takim tempie, że nie wiedziałem na czym będzie polegało moje zadanie, ale zgodziłem się w ciemno, z żądzy przeżycia może jedyne w życiu „aktorskiego” epizodu. Zostałem zaprowadzony do przebieralni zaimprowowanej w podziemiach gmachu, w którym odbywały się zdjęcia do spektaklu. Tam w błyskawicznym tempie przebrano mnie i ucharakteryzowano „na Hitlera”. Ubrano mnie w mundur, dolepiono wąsiki i zaprowadzono na plan, gdzie byli już pozostali statyści, formalnie zaangażowani przez firmę, bo ja znalazłem się jak wspominałem - ad hoc, na doczepkę, z nagłej potrzeby. Zadanie było bardzo skromne. Owa „rola” - dodam, że w moim przypadku bez wynagrodzenia - polegała głównie na oczekiwaniu na ujęcie, przechadzaniu się, pozowaniu, podrzucaniu nadmuchanej piłki-globusa. I na obserwowaniu tego, co się dzieje. Wziąłem udział w scenie, w któ-

rej pan Krzysztof Stroński grający główną rolę artysty fotografika Jerzego, przechadza się z aparatem fotograficznym, fotografuje poszczególnych statystów przebranych „za Hitlera” i poprawia im części garderoby, kołnierzyki, ustawia twarz do obiektywu. Była to scena castingu do roli statysty czy aktora mającego „zagrać”, a raczej ucharakteryzowaną sylwetką „wyobrazić” wodza III Rzeszy, bez wypowiedzenia nawet jednego słowa. W pewnym momencie znów zaprowadzono mnie do szatni, gdzie zdjąłem mundur „Hitlera” i przebrano mnie w strój Charliego, legendarnej postaci, jednej z ikon światowej kultury XX wieku, którą grał Charles Chaplin w swoich filmach, czyli jegomościa w wytartym fraku czy smokingu, w meloniku, z laseczką i z charakterystycznym wąsikiem. Postać Charliego była kolejnym obiektem fotograficznej sesji Jerzego. To tyle, jeśli chodzi o charakter tego mojego przypadkowego zajęcia. Było to dla mnie sympatyczne przeżycie, bo byłem (już nie jestem, bo to już nie to) od końca lat sześćdziesiątych widzem rozmiłowanym w Teatrze Telewizji i ta skromniutka, najskromniejsza z możliwych (pojawiam się w spektaklu na kilka sekund) forma udziału w jednym ze spektakli. Mam z Teatrem Telewizji wiele wspaniałych wspomnień związanych z licznymi dziesiątkami obejrzanych spektakli, z wspaniałymi kreacjami aktorskimi, scenografią i tak dalej. Pierwsze spektakle oglądałem - z oczywistych względów z niewielkim zrozumieniem, ale za to pod silnym wrażeniem - jako ośmioletni chłopiec, w połowie lat sześćdziesiątych. Szczególnie utrwaliły mi się w pamięci z tamtego czasu „Przygoda pana Trapsa” według „Kraksy” Friedricha Dürrenmatta, w reżyserii Konrada Swinarskiego, z plejadą znako-

mitości aktorskich m.in. ze Stanisławem Zaczykiem, Aleksandrem Bardinim i Janem Świdorskim oraz „Kapitan z Köpenick” Carla Zuckmayera w reżyserii Józefa Słotwińskiego, z Jackiem Woszczerowiczem w roli tytułowej.

Kazimierz Romanowicz

Na przełomie sierpnia i września 1981 roku przydarzył mi się kilkunastodniowy pobyt w Paryżu, pierwszy w życiu pobyt „na Zachodzie”. Przyjazd z wycieczkowej kryzysem Polski pustych półek do bogatego, barwnego miasta, pełnego przepelnionych towarami wystaw sklepowych, prawdziwie mnie oszołomił. Spotkało mnie tam sporo przygód typowych dla „biednego Polaka”, wynikających z niedostosowania do innej, nieznanej dotąd cywilizacji (nie przesadzam) i zupełnej nieznajomości tego „innego świata”, znanego mi dotąd tylko z książek, gazet i telewizji. Opisałem gte przygody po latach w opowiadaniu „Matka Boska w Paryżu”, nagrodzonym na konkursie literackim imienia Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie (1997). Pod koniec pobytu trafiłem do Księgarni Polskiej, którą na Wyspie Świętego Ludwika prowadził pan Kazimierz Romanowicz. Wtedy nie wiedziałem, że prowadził ją bodaj od lat czterdziestych stając się tym samym dystrybutorem m.in. literatury emigracyjnej, w tym usposobionej opozycyjnie w stosunku do PRL. Nie chce mi się dziś w to wierzyć, ale wybrałem wtedy książkę „Lech Wałęsa, polskie lato”, także dlatego że była jedną z najtańszych. Gdy przystąpiłem do zapłacenia owych sześćdziesięciu franków, pan Romanowicz mi bez słowa przekazał mi gratis niewielką torbę papierową, która zawierała miniaturowe wydania kilku najnowszych numerów „Kultury”

oraz dwa tomiki „Dwudziestolecia 1918-1939” Zygmunta Zaremby. Ponieważ zakładałem, że jawne przewiezienie do Polski tych książek może być problematyczne, więc przed podróżą upchałem je na dno ogromnego plecaka. Jednak nikt na Okęciu, po przylocie powrotnym, nawet do niego nie zajrzał. Ilekroć jestem w Paryżu zaglądam na malowniczą Wyspę Świętego Ludwika. Przez pierwszych kilkanaście lat zastawałem księgarnię czynną, choć już do niej nie zagłębiałem i nawet nie wiem, czy sam pan Romanowicz osobiście prowadził ją do ostatnich lat. Jednak za którymś razem nie zastałem już księgarni w tym lokalu. Po śmierci pana Romanowicza została zlikwidowana i teraz ktoś inny korzysta z tego lokalu.

Witold Zahorski

Latem 1987 roku wybrałem się na kilka tygodni do Florencji, do mieszkającej tam znajomej z Polski. Przy okazji zrobiłem sobie jednodniową wycieczkę do Rzymu, który znałem już z tygodniowego pobytu z 1984 roku. Jednym z punktów docelowych było tzw. „Studio Zahorski” czyli niewielka księgarnia niejakiego pana Witolda Zahorskiego, kombatanta II Korpusu Polskiego z czasów II wojny światowej. Można było w niej nabyć m.in. polityczne wydawnictwa emigracyjne, na ogół niedostępne w kraju. W odróżnieniu od paryskiej księgarni Romanowicza, „Studio Zahorski” okazało się prywatnym mieszkaniem w kamienicy, w którym wydzielony był duży pokój pełniący rolę księgarni. Tak się złożyło, że trafiłem na porę obiadową i przeglądając książki zerkałem kątem oka w stronę uchylonych drzwi, za którymi rodzina spożywała obiad. W końcu wybrałem kilka książek, w tym relacje Józefa Światła dla „Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa” i zbiór wywiadów „Oni” Teresy Torańskiej. To były wtedy sensacyjne rarytasy. Dziś, i od dawna, cała ta problematyka bardzo już spowszechniała. Kiedy wręczałem panu Zahorskiemu plik wybranych do zakupu książek, spojrzał on na „Onych” i powiedział z filuternym błyskiem w oczach: „Po co panu „oni”? Przecież ma „ich” pan w kraju”. Przyznam, że już nie pamiętam z całą pewnością, czy coś mu odpowiedziałem, czy też nieco stremowany, zmilczałem, choć coś mi się w pamięci kołata, że odpowiedziałem dowcipnie: „Ich za wiele”, a pan Zahorski wesoło się uśmiechnął. Podobnie jak kilka lat wcześniej, przy powrocie z Paryża, także i tym razem nie miałem żadnych problemów z przywiezieniem tych wydawnictw do kraju, bo nikt mnie nie kontrolował. Trochę mi się to kłóci z różnymi opowieściami o bohaterskich wyczynach związanych z „przemysłem niezależnych wydawnictw”, których tak wiele przeczytałem.